**Nr. 36.** **Sobota dnia 6-go września** **1913.**

# GOŚĆ ŚWIĄTECZNY.

Bezpłatny dodatek.

## Na niedzielę siedemnastą po Ziel. Świątkach.

### LEKCYA

z listu św. Pawła do Efezów rozdz. IV, wiersz 1—6.

Bracia! proszę was tedy ja więzień w Panu, abyście chodzili godnie powołaniu, w którem powołani jesteście; z wszelką pokorą i cichością, z cierpliwością znosząc jeden drugiego w miłości. Starając się, abyście zachowali jedność ducha w związku pokoju. Jedno ciało i jeden duch, jako jesteście wezwani w jednej nadziei wezwania waszego. Jeden Pan, jedna wiara, jeden chrzest. Jeden Bóg i Ojciec wszystkich, który jest nade wszystkie i po wszystkiem i we wszystkich nas.

### EWANGELIA

u św. Mateusza rozdział XXII, wiersz 34—46.

Onego czasu przyszli Faryzeusze do Jezusa, i zapytał Go jeden z nich, zakonny doktor, kusząc Go: Nauczycielu, które jest największe przykazanie w zakonie? Rzekł mu Jezus: Będziesz miłował Pana Boga twego ze wszystkiego serca twego, i ze wszystkiej duszy twojej, i ze wszystkiej myśli twojej. Toć jest największe i pierwsze przykazanie, a wtóre podobne jest temu: Będziesz miłował bliźniego twego, jako siebie samego. Na tem dwojgu przykazaniu wszystek zakon zawisł i prorocy. A gdy się Faryzeusze zebrali, spytał ich Jezus, mówiąc: Co się wam zdaje o Chrystusie, czyj jest syn? Rzekli mu: Dawidów. Rzekł im: Jakoż tedy Dawid w duchu zowie Go Panem, mówiąc: Rzekł Pan Panu Memu, siądź po prawicy Mojej, aż położę nieprzyjacioły twoje podnóżkiem nóg twoich. Jeźli tedy Dawid zowie go Panem, jakoż jest synem jego? A żaden nie mógł mu odpowiedzieć słowa, ani śmiał żaden od onego dnia więcej Go pytać.

### NAUKA.

**Chrystus Pan jest Bogiem.**

„Co się wam zda o Chrystusie, czyj jest Syn? Rzekli mu: Dawidów".

Wieleż to razy próbował Pan Jezus przekonać faryzeuszów, że on prawdziwym jest Mesyaszem. I dzisiaj tego próbuje, lecz nadaremnie. Pyta ich: „co się wam zda o Chrystusie, czyj jest Syn?" Powiedzcie mi, za kogo wy mnie uważacie, czy tylko za człowieka, wam podobnego? Powiedzcie, czyj syn jest Chrystus? Rzekli mu: Dawidów. — Nie inaczej jeno takim jesteś, jak my, zwyczajnym, śmiertelnym człowiekiem. Ale Pan Jezus ze słów Dawida przekonuje ich, że błędnie o Nim trzymają. Bo Dawid już, mówiąc o Chrystusie, w duchu proroczym swoim go Panem nazywał w tych słowach: rzekł Pan Panu memu, siądź po prawicy Mojej. Jeżeli tedy Dawid zowie Go panem swoim — mówi Pan Jezus — jakże jest synem jego?" Otóż i Dawid wierzył już, że ten Chrystus, który się z jego pokolenia narodzi jako człowiek, będzie Synem Pana najwyższego, będzie Synem Bożym. A wy nie chcecie w to wierzyć, mówi Pan Jezus faryzeuszom i za zwykłego macie mnie człowieka.

I my o Chrystusie Panu wierzymy tak samo, jak wierzył i Dawid. Wierzymy, że Jezus Chrystus Bogiem jest i człowiekiem, Bogiem od wieków, człowiekiem zaś od tej chwili, kiedy się począł w łonie Maryi za sprawą Ducha świętego.

Że Pan Jezus człowiekiem jest, temu się chyba nikt nie sprzeciwi. Jakże się zresztą temu sprzeciwić, kiedy się narodził jak człowiek, i żył na ziemi tu jak człowiek, kiedy ludzie ówcześni widzieli Go na oczy swoje, rozmawiali z Nim, przychodzili doń po ratunek w swoich potrzebach? Więc to przyzna każdy, że Pan Jezus jest człowiekiem. To jednak samo nikogo jeszcze nie zbawi. Gdyby Pan Jezus był tylko człowiekiem, nie mógłby nas zbawić, wtedy dopiero nie miałby na to mocy potrzebnej. Jako Bóg i człowiek dopiero mógł nas Pan Jezus odkupić, niebo nam wysłużyć, a piekło zamknąć przed nami. Jakoż Pan Jezus nietylko jest człowiekiemm ale i Bogiem. Z czegoż my jednak to poznajemy, że i Bogiem jest? Ktoś bowiem mógłby cię zagadnąć i zapytać: czemu ty wierzysz w to, że Pan Jezus jest Bogiem? Potrzeba więc, abyś mu na to umiał odpowiedzieć.

Otóż wierzymy, że Pan Jezus jest Bogiem, bo rzeczy przyszłe sam ze siebie przepowiadał, które kiedyś dopiero miały się spełnić. Tak przepowiedział śmierć Swoją i wszystkie jej szczegóły, tak i zmartwychwstanie Swoje. Powiada: „oto wstępujemy do Jeruzalem, a wypełni się wszystko, co napisano jest przez proroki o synu człowieczym. Bo będzie wydan poganom i będzie naigrawan i ubiczowan i oplwan, a ubiczowawszy zabiją Go, a dnia trzeciego zmartwychwstanie". (Łuk. 18). Tak i Piotrowi przepowiedział jego upadek: powiadam ci, Piotrze, nie zapieje dziś kur, aż się trzykroć zaprzesz, że mię nie znasz" (Łuk. 22). Wiemy też, co mówił Pan Jezus o zburzeniu miasta Jeruzalem, że nie zostanie w niem kamień na kamieniu. I w lat 40 potem zniszczył nieprzyjaciel to miasto zupełnie.

Ale na to trzeba Bogiem być, żeby naprzód z samego siebie powiedzieć, co się kiedyś stanie. Więc Pan Jezus jest Bogiem, bo przepowiadał rzeczy przyszłe, które się spełniły.

Wierzymy dalej, że Pan Jezus jest Bogiem, bo czynił własną mocą wielkie cuda. Znacie pewnie te cuda Pana Jezusa. Otóż na morzu uśmierzył On burzę jednem skinieniem Swej ręki; pięć tysięcy ludzi pięcioma chlebami nakarmił; ślepemu od urodzenia słowem wzrok przywrócił; umarłych nawet wskrzeszał: tak wskrzesił młodzieńca z Naim, córkę Jaira, Łazarza, choć cztery dni leżał już w grobie. A tych cudów tyle Pan Jezus uczynił, że gdyby je spisano, to cały świat tych ksiąg by nie zmie-

ścił — powiada Jan św. Niechże który z tych mędrców, co Jezusowi Panu Bóstwa zaprzecza, cud podobny choć jeden uczynić potrafi. Ale człowiek, choćby nie wiedzieć jak potężny, ani burzy nie uśmierzy na morzu, ani kilkoma chlebami nie nakarmi tysięcy, ani ślepemu od urodzenia wzroku nie da, ani umarłego wskrzesi. Jakże więc na takie cuda nie wierzyć, że Pan Jezus jest Bogiem?

Poznajemy Bóstwo Jezusowe i z tego, że po swojej śmierci zmartwychwstał, że zmartwychwstał dnia trzeciego, jak to przepowiedział. Że Pan Jezus zmartwychwstał prawdziwie, dowodzą nam tego apostołowie, którzy Go po zmartwychwstaniu oglądali na swoje oczy nie raz, nie dwa, ale przez całych dni 40. Oni sami byliby się Jezusa wyrzekli, byliby w Niego nie uwierzyli, gdyby był nie zmartwychwstał. A tymczasem oni życie swe dali za tę prawdę, że prawdziwie zmartwychwstał. Jakże takim świadkom nie wierzyć? A tu ten i ów powiada w zaślepieniu swojem, że to nieprawda. Ale taki człowiek podobny do tych faryzeuszów, których Pan Jezus sam nie mógł przekonać, że on Bogiem jest.

Gdyby cię przeto ktoś zapytał, czemu ty wierzysz w Bóstwo Jezusowe, to mu odpowiedz: wierzę, że Pan Jezus jest Bogiem, bo rzeczy przyszłe przepowiadał i te się spełniły; bo cuda własną mocą czynił, jakich żaden człowiek czynić nie może; bo i zmartwychwstał trzeciego dnia, jak o tem naprzód powiadał.

A zresztą oglądnijmy się na to dzieło, które P. Jezus stworzył tu na ziemi, na które my sami patrzymy. Tem dziełem to święty nasz katolicki Kościół. Nie kto inny go założył, tylko sam Pan Jezus, a choć temu blizko już dwa tysiące lat, a Kościół ten stoi silny, że go bramy piekielne zwyciężyć nie mogą. Przez lat trzysta starali się żydzi i poganie zniszczyć go, wytępić, a nic nie pomogli. Nigdy zresztą Kościół Chrystusowy nie miał spokoju. Mocarze świata najpotężniejsi wysilali wszystkie siły swoje przeciwko niemu, a jednak go nie obalili. Tak i dzisiaj pełno ma wrogów nasz Kościół, którzy go zmieść pragną z tej ziemi, cóż jednak, kiedy z Chrystusem Panem wojny wygrać nie mogą. I bramy piekielne go nie przemogą, a cóż dopiero bramy doczesne, potęgi doczesne? I to więc przekonuje nas, że Pan Jezus jest Bogiem, bo założył tu Kościół, który przetrwa aż do końca wieków.

Otóż kto ma zdrowy rozum i serce jeszcze nie całkiem zepsute, łatwo mu uwierzyć w to, że Pan Jezus jest Bogiem. Skoro sobie Jego proroctwa przypomni i cuda Jego i zmartwychwstanie Jego, z Piotrem zawoła: Ty jesteś Chrystus, Syn Boga żywego. A kiedy przypatrzy się jeszcze i Kościołowi, jaki on silny i niewzruszony na opoce swojej, choć nieprzyjaciele zewsząd do niego szturm przypuszczają od lat dwu tysięcy, to wyznać musi koniecznie, że ten Kościół to dzieło Boże, że więc Bogiem jest Pan Jezus, który go założył.

Św. Roman, męczennik, katowany sromotnie za wiarę w obecności poganina Asklepiadesa, tak się do niego odzywa: „Jezus Chrystus jest Synem Bożym, jest Bogiem prawdziwym, a jeśli mnie nie wierzysz, zapytaj o to owo niemowlę, a usłyszysz z ust jego tę samą prawdę". Mówiąc to, wskazał św. Roman na jedno dzieciątko, które matka chrześcijanka, w tłumie stojąc, na rękach trzymała. Jakże się Asklepiades niezmiernie zadziwił, jakże się i przestraszył, kiedy z ust tej dzieciny usłyszał te słowa: „Chrystus jest Bogiem prawdziwym".

Cóż my na to wszystko? Cóż my odpowiemy na to pytanie: Co się wam zda o Chrystusie? Z owem pacholęciem razem zawołamy: Chrystus jest Bogiem prawdziwym. Amen.

## BAJKA O SAMOLUBNYM OLBRZYMIE.

Ze szkoły wracając dzieci biegły do ogrodu olbrzyma i bawiły się. Powtarzało się to codziennie, każdego popołudnia.

Był to ogród duży i piękny, tonący w miękkich falach wiecznie młodej trawy. Tu i owdzie jaskrzyły się pośród łagodnej zieleni kwiatki barwne, tam znowu pięło się ku górze dwanaście drzew brzoskwiniowych, które, wiosną pokryte kwieciem dziewiczo białem zlekka zapłonionem, jesienią uginały się pod obfitością złotego owocu. A liczne rzesze ptactwa, ukryte w liściastych konarach drzew, śpiewały tak słodko, tak radosne zawodziły trele, że pod ich urokiem dzieci raz wraz przerywały zabawy, by słuchać. A wtedy, z błąkającymi się w oczętach ognikami, wołały:

— Jakże jesteśmy tu szczęśliwe.

Ale zdarzyło się, że pewnego dnia powrócił olbrzym do domu. Bawił on w gościnie u przyjaciela swego, bogatego ludożercy; bawił tam okrągło siedm lat. A gdy owych siedm lat dobiegło końca, powiedzieli sobie byli już wszystko, co wogóle do powiedzenia mieli — olbrzym bowiem był od urodzeniem wrogiem gadulstwa wszelakiego, stąd całe opowiadania streszczał do kilku zdań, i stąd też możliwe mu było wyczerpać w owych siedmiu latach cały temat i dyskusyę. Tak więc postanowił opuścić przyjaciela i powrócić do swego zameczyska. Lecz tu, o zgrozo zastał rozbawioną gromadkę dzieci, hasających po jego ogrodzie. Więc w słuszne popadł oburzenie.

— Czego wy tu szukacie! — zawołał srogo, iże dzieci uciekły. — To jest mój ogród, mój ogród! I oprócz mnie samego nikt nie ma prawa się tu bawić!

I otoczył swój ogród potężnym murem, a na miejscu widocznem umieścił tablicę z napisem: „WSTĘP SUROWO WZBRONIONY!"

Był to olbrzym bardzo samolubny.

Biedne dzieci! Pozbawione teraz zostały swobodnego miejsca, gdzie mogłyby czas na przyjemnej spędzać zabawie. Próbowały bawić się na gościńcu, ale było tam pyłu dużo i wiele kamieni ostrych; więc gościńca nie lubiły.

Wracając ze szkoły, snuły się tedy smutne popod wysokim murem ogrodu i wspominały o cudach i szczęściu teraz dla nich niedostępnem.

Po smutnej zimie nastała wiosna rozkoszna i wszędzie, wszędzie pachniała wiosna, barwiło się kwiecie i rojno było od ptactwa i gwarno od śpiewu jego. A tylko w ogrodzie olbrzyma samolubnego panowała zima. Ptaszyny trzymały się zdala od ogrodu, ponieważ nie było tam dzieci, a drzewa zapomniały kwitnąć. Kiedyś coprawda kwiatek jakiś wysunął swą główkę ze zczerniałej trawy, ale zoczywszy tablicę z srogim napisem, zasmucił się tak bardzo o los dzieci, że trwożnie ukrył się pod ziemię.

Dwuch tylko cieszyło się złośliwie z zimy w ogrodzie: mróz i śnieg. Oni to aż wyli z radości, że hulać tam będą mogli rok cały bez przerwy. Niebawem też zaprosili w gościnę wiatr północny. Był on potwor-

ny; przez cały dzień rozbijał się po ogrodzie jak wściekły i wywracał kominy. „Bardzo ładnie się tu mieszka — mówił — trzeba tylko jeszcze gradu do towarzystwa". I nadszedł grad. I z siłą począł uderzać codziennie o dach zamku tak, że potrzaskał wszystkie dachówki.

— Dziwne czasy! — mruczał olbrzym samolubny, spoglądając poprzez zaparowane szyby okien na śniegiem pokryty ogród. — Dziwne czasy, kiedyż wreszcie zakończy się zima nieznośna! I pocieszał się tem jedynie, że lada dzień się to zmieni i nastanie wiosna.

Ale nie nadeszła wiosna, tem mniej lato. Tymczasem jesień dała wszystkim ogrodom owoc złoty w niezmiernej obfitości, a tylko ogrodowi olbrzyma owocu nie dała żadnego. „Samolubstwo musi być ukarane" — szumiała jesień.

Tak więc zima nieustająca panowała w ogrodzie olbrzyma, a mróz ostry i śnieg, wichry północne i grady tańczyły taniec piekielny dokoła wyschłych, poczerniałych drzew.

Pewnego poranku zbudziły olbrzyma przedziwne jakieś dźwięki; muzyka to była tak słodka, cudna, że zdało mu się, iż grajkowie nadworni króla przechodzili tuż koło jego zamczyska. Ale był to jeno szczebiot najzwyklejszej czeczotki. I dziwna rzecz, że w tejże chwili grad zaniechał swych zwykłych harców, ustało wycie przeraźliwe wichrów północnych, a w powietrzu unosiła się woń przeczysta, woń rozkoszna.

— Toż to wiosna, wiosna! — zawołał olbrzym i jednym susem wyskoczył z łóżka i stanął przy oknie.

I cóż tam ujrzał?

Oczom jego przedstawił się obraz niezwykły. Spostrzegł wyłom w murze, przez który prześliznęły się do ogrodu dzieci i posiadały na gałęziach drzew. Na drzewie każdem siedział mały dzieciaczek, i uradowały się drzewa widokiem dzieci i z radością pokryły się kwieciem bujnem. Ptasząt gromada latała dokoła, ćwierkając wesoło, zazieleniła się trawka i kwiatki wychyliły swe główki i śmiały się. Prawdziwa rozkosz. Lecz uroczy ten obraz szpecił drobny szczegół. Mianowicie w odległym zakątku ogrodu zima jeszcze panowała w całej pełni, i tam pod drzewem stało maleńkie chłopię. Zbyt mały był, by dostać się na drzewo, więc biegał dokoła niego i rzewnie płakał. A drzewo pokryte było śniegiem, a konarami szamotał wichr dziki. „Wejdź na mnie, maleńki" — szeptało drzewo i zniżało gałęzie bardzo nisko. Ale chłopiec był za mały.

Obraz ten rozrzewnił serce olbrzyma.

— O jakże samolubny byłem — mówił — teraz dopiero widzę, dlaczego wiosny tchnienie omijało mój ogród. Pomogę malcowi, niech wejdzie na szczyt drzewa, a potem mury rozbiję i ogród oddam dzieciom do zabawy.

Samolubstwo pierwotne martwiło go istotnie.

Chyłkiem więc udał się olbrzym do ogrodu, ale spostrzegły go dzieci, przelękły się i uciekły. I w ogrodzie znowu zapanowała zima. Dzieci uciekły, a pozostał tylko ów chłopiec zapłakany, który z powodu łez nabiegłych do oczu nie dostrzegł był olbrzyma. I podszedł olbrzym do niego z cicha, uniósł go w górę i na drzewie usadowił wysoko. I drzewo w mgnieniu oka pokrywać się poczęło bujnem barwnem kwieciem, nadleciały ptaszęta, posiadały dokoła chłopczyka i śpiewały rozgłośnie. I wyciągnął chłopiec swe drobne rączymy, objął olbrzyma za głowę i ucałował go. A gdy zbiegłe dzieci ujrzały, że minął już gniew olbrzyma, przybiegły z powrotem a wraz z nimi nadeszła i wiosna

— Ogród mój należy odtąd do was — powiedział olbrzym, wziął kilof potężny i rozbił mur w kawałki.

I bawiły się dzieci przez dzień cały, a wieczorem poszły gromadą do olbrzyma z podziękowaniem za gościnę.

— A gdziesz to podział się wasz towarzysz, którego usadowiłem na drzewie? — pytał olbrzym, bo pokochał chłopca za to, że go ucałował. Powiedzcie mu, ażeby jutro znowu przyszedł do ogrodu.

Ale dzieci oświadczyły, że nie wiedzą, gdzie chłopiec ten mieszka, że nie znają go. Posmutniał więc olbrzym.

Odtąd już stale przychodziły dzieci do ogrodu olbrzyma, bawiły się wesoło i bardzo były szczęśliwe. I olbrzym bawił się z nimi. Ale nieznanego chłopca między nimi nie było. Olbrzym kochał coprawda swoją gromadkę, ale tęsknił bardzo za młodym swoim przyjacielem, i w myślach powtarzał ustawicznie: „jakże pragnąłbym go znowu zobaczyć"...

Minęły lata i olbrzym postarzał się wielce i osłabł Przeto nie brał już udziału w zabawie, a tylko siedząc w pokoju swym w głębokim fotelu, zdala przyglądał się bawiącym i radował się ich szczęściem. „Wiele mam kwiatów w ogrodzie, ale najpiękniejsze z nich to dzieci".

Nadeszła zima. Śnieg iskrzył się na dalekich polach, w śniegu tonął ogród olbrzyma. Nie nienawidził już teraz zimy, bo był pewien, że wiosna niebawem pokrzepiona wypoczynkiem wróci znowu jasna i słoneczna.

Pewnego takiego poranku białego zbliżył się do okna, by spojrzeć na ogród. Lecz nagle... Przetarł oczy raz i drugi... Nie dowierzał. W odległym zakątku ogrodu jedno jedyne drzewo pokryte było świeżą zielenią i kwieciem najcudniejszem, a pod nim — jak ongi — stał ów chłopiec nieznany.

Szalony radością olbrzym — wybiegł ze swego pokoju, by podążyć do chłopięcia. Lecz gdy podszedł do niego już blisko zupełnie, poczerwieniał nagle z gniewu i żałości i zawołał:

— Któż to odważył się zrobić ci krzywdę? Na dłoniach bowiem dziecka i stopach jego maleńkich zauważył był cztery rany.

— Któż ośmielił się zrobić ci tak wielką krzywdę? — powiedz, a wezmę mój miecz największy i zabiję go.

Ale uśmiechnął się chłopiec, potrząsnął swą główką złotą i odrzekł:

— To są rany miłości...

— Kto ty jesteś? — zawołał olbrzym, a w tejże chwili lęk nieokreślony wstrząsnął nim do głębi, iże ukląkł przed dzieckiem.

I uśmiechnęło się znowu chłopię małe i rzekło:

— Ongi pozwoliłeś mi bawić się w ogrodzie swo im, dziś pragnę cię do swego zabrać ogrodu.

A gdy dnia tego popołudniu dzieci starym zwyczajem przybiegły do ogrodu, znalazły leżącego pod drzewem trupa olbrzyma, pokrytego kwieciem obfitem i najpiękniejszem.

# DZIWAK.

Poklepał go stryj po ramieniu.

— No, chłopcze, skończyłeś gimnazyum, skończyłeś doskonale. Widzę, że warto zająć się twoim losem Nie pomagałem ci dotąd, bo chciałem cię wpierw wypróbować. Ale, jeżeli dalej, uważasz, tego, jakby tu powiedzieć, jeżeli będziesz tak, jak ja myślę...

— Dziękuję stryjowi za dobre chęci — odparł chłopiec — ale doprawdy, ja mogę iść dalej o własnych siłach.

— No, no, ja wiem. Nie przeceniaj swoich sił. Powinieneś wystrzegać się fałszywej dumy; wiesz, do czego to doprowadziło twego ojca... Wstępujesz, rozumie się, na prawo, już ja pomyślę później...

— Nie, stryju, ja wstępuję stanowczo na medycynę.

— Aż stanowczo, no, proszę. I dlaczego?

— Bo czuję powołanie...

— Powołanie... to rzecz piękna, ale dla ludzi bogatych.

— Ja sądzę, stryju, że to, co piękne i szlachetne dla wszystkich jest zarówno piękne.

— Tak sądzisz? A ja, widzisz, sądzę, że młodsi powinni wierzyć starszym, a przedewszystkiem nie powinni im dawać nauk moralnych, jak ty to przed chwilą uczyniłeś. Brak ci wychowania.

— Nie, stryju, mama wychowała mnie bardzo dobrze. Nauczyła mnie wierzyć głęboko i otwarcie wypowiadać to, w co wierzę!

— Ha, to wracaj do mamy!

Chłopiec pocałował stryja w rękę i wyszedł.

— Cóż stryj mówił? — pyta matka.

— Nie zmuszaj mnie, mamo, bym chodził do ludzi, do których żal czuję. Czyś przypuszczała, że mogę być grzecznym dla człowieka, który skrzywdził mego ojca, który czuje niechęć do ciebie, mamo?

Stryj po wyjściu bratanka chodził gniewnie po swym wspaniałym gabinecie, wreszcie siadł i zapalając cygaro, mruknął przez zęby:

— Błazen!

* * *

Medalista wstąpił na wydział medyczny. Pracował usilnie, na życie zarabiał dawaniem lekcyi.

— Czy podajesz prośbę o stypendyum? — pyta go matka.

— Jeśli zażądasz tego ode mnie, uczynię to, mamo, dla ciebie. Ale nie, widzisz, są biedniejsi.

— Jak chcesz, Staśku — mówi matka, patrząc z dumą na jedynaka.

Staśko dawał lekcye, uczył sumiennie.

— Czy nie przyjąłby pan jeszcze jednej lekcyi? — pyta go raz matka jego ucznia.

— Nie, proszę pani, mam wszystkie godziny zajęte.

— Może pan rzuci jedną lekcyę i tę przyjmie. Tu panu lepiej zapłacą.

— Nie, pani, ja w połowie roku nie mogę ucznia pozbawiać pomocy.

Uśmiechnęła się pani, wyszła do drugiego pokoju i szepnęła:

— Głuptaś!

* * *

Otrzymał złoty medal, a wynalazek jego żywo zajął świat lekarski. Nazwisko jego powtarzały pisma specyalne bardzo daleko po za granicami kraju.

Proszono go do jakiejś komisyi naukowej, wymówił się brakiem czasu, chciano podać życiorys w piśmie codziennem, nie pozwolił na to. Wezwano go do parę domów zamożnych.

Jednemu pacyentowi powiedział, że nie może rozpoznać choroby, radził przywołać lekarza starszego, drugiemu choremu powiedział, że cierpienie jego jest skutkiem hulaszczego życia. Przywołano innego, który orzekł, że cierpienie wywołane zostało pracą mierną i troskami.

I Staśko z matką postanowili wyjechać na prowincyę.

Lekarze, którzy całą duszą korzystali z wynalazku swego kolegi, określili go jednem słowem:

— Niedołęga.

* * *

Zamieszkał Staśko z matką na prowincyi. W tydzień później rozeszła się pogłoska, że „pan doktór" przyjął do obsługi wdowę z sześciorgiem dzieci, byłą stolarzową, której mąż zabił się, spadłszy z rusztowania.

— Niewiele mogę dobrego robić — mówił — niechże jednej rodzinie dam przytułek.

— Dziwak — mówiono sobie — ale dobry lekarz.

Widzicie, już nie „błazen", nie „głuptaś", nie „niedołęga", tylko „dziwak".

Gdy mu swatano bogatą pannę, powiedział, że małżeństwo nie jest handlem i został... kawaleremdziwakiem.

Leczył biednych darmo, wiele rozdawał, wiele pracował, kłócił się z aptekarzem, który zdzierał za lekarstwa i z felczerem-oszustem.

Poza tem założył ochronę, skłonił jednego z okolicznych obywateli, by u siebie kolonie letnie urządził, w fabryce wprowadził jakieś nowe wentylatory, pisał wiele do pism warszawskich o hygienie ludowej, o pomocy lekarskiej dla ubogich mieszkańców wsi i miasteczek — podpisywał się tylko jedną literą.

* * *

Boże daj nam takich dziwaków-niedołęgów jak najwięcej.

---

# TO I OWO.

## JAK LUDZIE SIĘ POZDRAWIAJĄ.

Myli się ten, kto sądzi, że uścisk dłoni lub pocałunek jest u wszystkich narodów oznaką miłości lub pozdrowienia. Całowanie naprzykład jest wcale nieznane u Australczyków i innych jeszcze ludów świata. I murzyni z Zachodniej Afryki nie cenią go wcale.

Oznaki uszanowania także się tam różnią od naszych — i tak naprzykład w Australii i na niektórych wyspach, przyległych tej części świata, ludzie rozmawiając z osobami wyższego stanu siadają; Chińczyk zaś na znak szacunku nie zdejmuje, jak my, czapki, lecz przeciwnie, nakłada ją, jeśli miał głowę nieprzykrytą.

Kafrowie znów, co mieszkają na południu Afryki, świstaniem okazują swoje uszanowanie. W niektórych okolicach Azyi i Afryki poddany odwraca się plecami do swego zwierzchnika, chcąc wyrazić swą dlań uniżoność; inni jeszcze na znak swej niższości przykładają dłonie do swego nosa.

Podróżni zapewniają, że w jednem plemieniu Eskimosów, które zamieszkuje północne, a więc zimne kraje, Ameryki, chcąc okazać łaskawe usposobienie, chwytają się za nos; inne znów narody podczas pozdrowień pociągają się wzajemnie za nosy.

Takie to pomiędzy narodami świata są różne zwyczaje. Sprawdza się więc nasze przysłowie, że: co kraj to obyczaj.